

## Polityczne aspekty funkcjonowania szkół wyższych

Polityka rozumiana jako sztuka dbania o zaspokajanie potrzeb całego społeczeństwa obejmuje na szczeblu państwowym najróżnorodniejsze zagadnienia, wśród których nie można przeoczyć szkolnictwa wyższego. W europejskim modelu edukacyjnym jest ono w znacznej części ściśle związane z państwem, co oznacza, że np. w RP na tym szczeblu nauczania instytucje publiczne mają zdecydowanie większe znaczenie niż prywatne. Wśród tych pierwszych szczególną rolę odgrywają uniwersytety, będące „kuźnią kadr parlamentarno-administracyjno-sędziowskich”, co sprawia, że władze państwowe są integralnie zainteresowane tym, aby absolwenci byli odpowiednio przygotowani do sprostanania wyzwaniom, jakie napotkają, gdy staną się częścią aparatu władania. Zainteresowanie to znajduje swój instytucjonalny wyraz w istnieniu Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego, jednakże zbyt daleko idąca ingerencja czynników rządowych w funkcjonowanie społeczności uniwersyteckich zbyt drastycznie oddziaływałaby na wrażliwą materię kształtowania wchodzącej w dorosłe życie młodzieży, w związku z czym wprowadza się ograniczenie w postaci konstytucyjnie zagwarantowanej (art. 70 ust. 5) autonomii szkół wyższych, mającej pozwolić ich kierownictwom na prowadzenie własnej polityki, zapewniającej zachowanie niezbędnej do właściwego funkcjonowania tożsamości.

Taka sytuacja sprawia, że w sporym stopniu problemy pojawiające się w życiu społeczności akademickiej, często określanej nawiązującym do konstytucyjnego określenia RP jako Dobra Wspólnego mianem wspólnoty, są rozwiązywane wewnątrz niej zgodnie z regułami wypracowanymi w ciągu wielowiekowej historii uniwersytetów. Purpurową nicią przewija się przez nią podstawowy schemat dychotomicznego podziału na uczących i nauczanych. Ci drudzy posiadają ilościową przewagę, ale są z założenia podporządkowani bardziej wpływowej mniejszości, jaką stanowi dzieląca się z nimi swoją wiedzą kadra. Mamy tu zatem do czynienia z zadekretowanym brakiem egalitaryzmu, typowym dla medievalnej Europy.

Nie jest to bynajmniej przypadkowa koincydencja, gdyż właśnie Wiek Średni są okresem, w którym powstały pierwsze ośrodki uniwersyteckie. Wypada przypomnieć, że co prawda niektóre z nich szły szlakiem Bolonii, gdzie rektor był wybierany spośród studentów, ale model ten nie wytrzymał próby czasu, przegrywając rywalizację z paryskim wzorcem, zakładającym, że władza może być powierzona jedynie osobie będącej

już dyplomowanym naukowcem. Schemat ten odzwierciedla układ istniejący w Kościele, gdzie ksiądz nie może być nieuczonym w Piśmie laikiem. Reguła ta w naturalny sposób została przeniesiona na mające eklezjalny charakter uczelnie, do jakich zaliczała się Sorbona. Wiodącą rolę odgrywała w niej uważana za Królową Nauk teologia, co pomagało w nadawaniu studentom statusu odpowiadającego temu, jaki mają uczestniczący we Mszy Świętej wierni, słuchający będącego ekwiwalentem wykładowcy kapłana. Spowiedź zaś może być uznana za odpowiednik egzaminu czy też zaliczenia, a zatem ocena niedostateczna jest przeniesionym na edukacyjny grunt brakiem rozgrzeszenia, uniemożliwiającym bez melioracji stwierdzonych braków uzyskanie dyplomu, równoznacznego z uzyskaniem wyższego statusu społecznego, porównywalnym z nobilitacją.

Widzimy więc, że patentowani *nobiles* są wyniesieni ponad rzeszę studentów stanowiących uczelniany lud. Posiada on swoje prawa polityczne, w najbardziej wyrazisty sposób przejawiające się podczas partycypacji w elekcji rektora, spełniającego rolę jednoosobowej głowy akademickiej wspólnoty. Charakterystyczne jest to, że wybory te mają pośredni i kurialny charakter, przypominając współczesnemu światu, że istnieje alternatywa dla bezpośrednich i ujednostajnionych głosowań, zdecydowanie dominujących w dokonywanych na aktualnym etapie rozwoju procesach wyłaniania zinstytucjonalizowanych elit władzy. Ich typowa dla dzisiejszych czasów, jednorazowa postać, zbudowana jest na założeniu daleko posuniętej polityzacji ogółu, obdarzonego domniemaniem zdolności podejmowania przemyślanych rozstrzygnięć, dokonywanych w zaciszu „wydzielonej strefy dokonywania wyborczych preferencji”, skutkujących ostateczną personalizacją piastunów władzy. W uniwersyteckim schemacie elekcyjnym dokonuje się ona dopiero wskutek rozstrzygnięcia wyłonionego przez społeczność kolegium, podejmującego decyzję po wysłuchaniu wystąpień kandydatów na rektorski stolec. Taki *modus operandi* sprawia, że następuje wskrzeszenie ducha trybalno-militarnego ludowładztwa, wyrażającego się w wyznaczaniu wodza na zebraniu pełnoprawnych członków wspólnoty. Przyjmuje ona w interesującym nas przypadku postać ukonstytuowanego na podstawie głosowania ogółu zgromadzenia, dokonującego oceny kandydatów na Najwyższy Urząd. Zakłada się zatem, że członkowie Korpusu Wyborczego wskażą dysponujące nadprzeciętną wiedzą osoby, które dokonają właściwego i ostatecznego wyboru, co skłania do zwątpienia w słuszność dogmatu bezpośredniej elekcyjności, skoro nie znajduje on zastosowania w teoretycznie szczególnie przesyconym racjonalnością akademickim *milieu*, z dużą powściągliwością otwierającym się na nowożytnie przesłania.

Dystans względem nich skutkuje tym, że na terenie wyższych uczelni przetrwała stanowość, ulegająca sublimacji w ewidentnie nawiązującej do feudalizmu hierarchii, rozczłonkowanej na kilka segmentów nauczycielsko-studencką społeczność, co nie przeszkadza jednakże w ujęciu jej jako podlegającej politycznym prawidłowościom

struktury, *nolens volens* ulegającej czarowi polibiuszowskiej formuły, nakazującej koegzystencję czynnika monokratycznego z arystokratycznym i ludowładczym. Ten ostatni przejawia się w udziale „ludu studenckiego” w elekcji rektora oraz w studenckiej partycypacji w senacie.

Dopuszczenie do niego reprezentacji uczącej się młodzieży świadczy o elastycznym, pozbawionym skostniałego dogmatyzmu podejściu środowiska akademickiego do tej szacownej instytucji, której nazwa wywodzi się od łacińskiego słowa *senex*, oznaczającego wszak starca, co oznacza, że w rudymen tarnej postaci mamy do czynienia z podmiotem będącym odpowiednikiem spartańskiej geruzji, jak najbardziej słusznie kojarzonej z gerontokracją. Pierwotna tożsamość organu tego typu łączy się zatem ściśle z przekonaniem co do tego, że wraz z każdym przeżyty m rokiem w człowieku narasta mądrość, a zatem młodzi powinni słuchać starszych, co lakonicznie wyraża łacińska sentencja *seniores priores*. Zasadniczo zasada ta w przypadku uczelnianych senatów zachowuje swą aktualność, składają się one bowiem przede wszystkim z przedstawicieli pracowników, tym niemniej obradują oni wraz z przedstawicielami „studenckiej młodzi”, co niewątpliwie zwiększa reprezentacyjność gremium stanowiącego arystokratyczny element w społeczno-politycznej strukturze szkoły wyższej. Godne podkreślenia jest to, że senat był czymś typowym dla niej także wtedy, gdy zabrakło dla niego miejsca w ogólnopolskim ustroju politycznym, z czego można wyciągnąć wniosek, że przywrócenie w 1989 r. wyższej izby polskiej legislatury było ułatwione dzięki temu, iż zinstytucjonalizowana pamięć o niej była przechowywana w uniwersyteckich murach.

W jakimś stopniu można to odnieść także do urzędu Prezydenta RP, jaki po Okrągłym Stole pojawił się ponownie w systemie władzy państwowej, będąc republikańskim odpowiednikiem jednoosobowej władzy rektorskiej, którą wypada potraktować jako zarówno zwierzchnika uczelnianej egzekutywy, jak i „głowę wspólnoty akademickiej”. Występuje on zatem w roli ewidentnie monokratycznego czynnika ustrojowego, typowego dla zdecydowanej większości najrozmaitszych struktur z powodu swego naturalnego charakteru. Zalety jednoosobowego kierownictwa są dość powszechnie znane, co sprawia, że model ten jest niezwykle trudny do usunięcia, szczególnie wówczas, gdy jest otaczany odruchowo wytwarzaną aurą szacunku, jak to się ma w przypadku automatycznie kojarzonej z czcigodnością instytucji rektora.

Stoi on na czele organizacji będącej federacją bytów niższego rzędu, jakimi są wydziały. Z jednej strony można dopatrzeć się w takim układzie zapowiedzi tak modnych w dzisiejszych czasach federacji, a z drugiej zinstytucjonalizowanego pluralizmu, cieszącego się współcześnie sporą estymą. Podział władzy oraz wielopartyjność opierają się na założeniu skomplikowania rzeczywistości. Jest ona badana przez naukowców, którzy wraz z narastającym *quantum* zdobywanej wiedzy odnajdują nowe kierunki poszukiwań,

co skutkuje wyodrębnianiem się nieznanymi do tej pory gałęzi nauki. Dzięki temu zmienia się sposób myślenia kształconej w przeważającej części na uczelniach elity politycznej, zachęcając ją do tworzenia nowych bytów na scenie politycznej. Akademickie spory stanowią naturalną zachętę dla werbalnych starć, dokonujących się między walczącymi o władzę stronnictwami. Wielu z ich aktywnych członków podczas swoich studiów brało udział w działalności kół naukowych, będących wyrazem pluralizmu zainteresowań poznawczych uniwersyteckiej młodzieży, znajdującego oparcie w działających w ramach fakultetów instytucjach i katedrach, dodatkowo pomnażających uczelniany pluralizm.

Jeśli natomiast rozejrzelibyśmy się za ekwiwalentem bardziej rudymentarnej demokracji w jej trybalnej postaci, to odnajdziemy go w wykładzie, będącym wszak tłumnym zgromadzeniem przypominającym wiec, z którego miała rozwinąć się monarchia i inne formy ustrojowe, ujmujące w karby falujący onegdaj na masowych zebraniach rozwichrzony lud, czyniąc z niego zdyscyplinowanych poddanych. Przypominamy sobie o tej ewolucji, gdy spoglądamy na istotę wykładu polegającego na tym, że gromada słuchaczy uznaje formalny autorytet mówcy, przekazującego im jakąś interpretację rzeczywistości, traktowaną jako słuszna, ponieważ jest przedstawiana przez podmiot górujący wiedzą nad odbiorcami jego komunikatów, godzących się ze swoją podległością, mającą im przynieść korzyść w postaci urzędowo potwierzonego wykształcenia. Jego oficjalnymi szafarzami są wykładowcy instalujący w studenckich umysłach bazę danych i narzędzia do jej obsługi, co ma pomóc w „walce ze światem oraz kooperacji z nim”, gdyż w tak właśnie sformułowany na dialektyczną modłę sposób można określić generalny paradygmat samodzielnych oraz kolektywnych poczynań, składających się na dorosły żywot. W pierwotnej demokracji trybalnej współplemieńcy podczas zgromadzenia mieli wskazywać na wodza, który prostymi rozkazami poprowadzi lud do zwycięstw, natomiast na otoczonych aurą Wtajemniczenia w Wiedzę Wyższego Rzędu „kursowych wiecach uniwersyteckich” odgórnie namaszczonego specjalista udziela rozbudowanych w teoretyczne schematy wskazówek z założeniem zachowania przez nie wartości w najprzeróżniejszych sytuacjach, jakie mogą się przydarzyć absolwentom na życiowym szlaku.

Powinni oni przecież zdawać sobie sprawę, że *non scholae, sed vitae discimus*. Spoglądając zaś od strony władarzy zinstytucjonalizowanych podmiotów władzy publicznej, warto przypomnieć znaną formułkę *кадры решают всё*, akcentującą znaczenie wysokokwalifikowanych pracowników. Wszak bez nich trudno jest zapewnić sprawne funkcjonowanie państwa, pokrytego coraz trudniejszym do przeniknięcia gąszczem przepisów. Dlatego nie jest przypadkiem, że u zarania średniowiecznych uniwersytetów znajdujemy jurydyczne fakultety, obecność jakich w uczelnianych strukturach traktowana była, podobnie jak wydziałów teologii, jako *conditio sine qua non* uzyskania uniwersyteckiej rangi, o czym możemy się łatwo przekonać, gdy od strony Rynku spojrzymy

na Wieżę Matematyczną wrocławskiej *Alma Mater*, gdzie umieszczono dwie kamienne personifikacje dzierzące w krzepkich rękach krzyż względnie wagę oraz miecz. W nowszych czasach, charakteryzujących się rosnącą antropokracją, teologia została usunięta z poddanej laicyzacji Świątyni Wiedzy, która wskutek tego straciła swój pierwotnie eklezjalny kształt. W przeciwieństwie do teologii prawo przetrwało w uniwersyteckich strukturach, ponieważ jest ściśle związane z potrzebami każdego państwa. Na dodatek dołączono do niego w oficjalnej nazwie fakultetu administrację, co jeszcze bardziej podkreśla ścisłą relację z aparatem państwowym. Uległa ona dalszemu pogłębieniu, gdy jako osobna uniwersytecka jednostka organizacyjna powstała nowa struktura ukierunkowana na badanie politologii, z której wyłonił się cały Wydział Nauk Społecznych, bo przecież nie bez powodu pisze się o ustroju społeczno-politycznym.

Podany przykład z nad Odry dobrze obrazuje symbiozę między światem autonomicznych uczelni państwowych a organizacją polityczną w postaci państwa, rozumianej jako zinstytucjonalizowana władza, kreująca zapotrzebowanie na rozwój tych gałęzi nauki, które tradycyjnie zaspokajają jej potrzeby oraz stwarzanie nowych, gdy dochodzi do transformacji ustrojowej, skutkującej umieszczeniem Polski w nowym ideowo-politycznym paradygmacie, co doskonale widać na przykładzie rozwoju europeistyki, zastępującej próżnię po zruconym z aksjologicznego piedestału marksizmu-leninizmu. „Otwarcie na Europę” przyniosło też aplikację systemu bolońskiego, zmieniającego schemat studiowania w sposób ewidentnie nawiązujący do medievalnego modelu, w jakim droga do stania się magistrem wiodła poprzez uzyskanie statusu bakałarza. Powrót do dwustopniowych studiów to wyrazista demonstracja słuszności przekonania co do tego, że „wszystko już było”. Logiczne jest, że towarzyszący krachowi realnego socjalizmu upadek wiary w automatyczny postęp we wszystkich dziedzinach skłania do zwrócenia się w stronę przeszłości, której permanentnie obecne brzemień jest szczególnie dostrzegalne w szkolnictwie uniwersyteckiego typu, jakie narodziło się w „ciemnych Wiekach Średnich” i zasadniczo utrzymało ukonstytuowane wówczas swoje podstawowe rysy charakterystyczne, których nie może się pozbyć, gdyż oznaczałoby to utratę tożsamości.

Łączy się ona ściśle z ewidentnie antyegalitarnym założeniem górowania, dominacji nad innymi szczeblami edukacji, znajdującymi się w cieniu wyższych studiów stanowiących dla młodych ludzi kulminację procesu sformalizowanego zdobywania wiedzy. Jego wieloetapowość, odzwierciedlająca żmudny proces stopniowego rozwoju pobierającego nauki człowieka, dość poważnie relatywizuje lansowany dzisiaj usilnie model społeczno-polityczny, mający się charakteryzować antydyskryminacyjnym zwalczaniem wszelakiego typu opresji, według antypedagogiki brutalnie zniekształcającej psychikę wychowanków w tradycyjnym modelu kształcenia, opartym na zdobywaniu kolejnych „stopni wtajemniczenia” kosztem wysiłku i strachu przed egzaminacyjnymi

niepowodzeniami. Niektórzy alternatywę dla średniowieczno-nowożytnego systemu permanentnego sprawdzania stopnia opanowania zadanego materiału przez surowego belfra w sutannie bądź surducie znajdują w arystotelesowskim Liceum, względnie platońskiej Akademii, gdzie w atmosferze męskiej przyjaźni doświadczeni perypatetycy w luźnej podobno atmosferze dzielili się swoimi refleksjami z zapatrzoną w nich męską młodzieżą, obficie spijającą *con amore* z warg mistrzów miodopłynne tyrady bez potrzeby tłoczenia się w ciasnych ławkach w oczekiwaniu na kolejne porcje nużącej swym dogmatyzmem, bezbarwnej scholastyki, jakie trzeba opanować w chłodnej atmosferze doskonałego obiektywizmu, konsekwentnie trzymając się maksymy *sine ira et studio*. Może się ona nie podobać, ale to średniowieczne przesłanie doskonale pasuje do opartych na mających zwalczać subiektywność znormatywizowanych procedurach, tak typowych dla nowoczesnych państwowości, z upodobaniem abstrahujących od stanowych, klasowych, rasowych, płciowych i wszelakich innych wewnątrzgatunkowych dystynkcji, mających pokornie ustępować przed egalitarystyczną nomokracją, usianą nieznanymi dla wtajemniczonych pułapkami ukrytymi w postaci rozlicznych wyjątków za fasadami, na których z rozmachem namalowane są dogmaty Aktualnego Etapu Rozwoju, niemożliwe z powodu oporu materii do zastosowania w całej rozciągłości. Doświadczenie wielu pokoleń przekonuje co do tego, że w arkana sztuki poruszania się w tym zdradliwym labiryncie najlepiej wprowadzi perfidny belfer, demonstrujący w trakcie „dydaktycznej gry” z nauczonymi, że „nie trzeba wierzyć w pisane”, póki nie zbada się rozmaitych załączników i nie przejrzy orzecznictwa oraz doktrynalnych wypowiedzi, pozwalających dostrzec zjawisko w całej jego złożoności.

Okazuje się więc, że świat dorosłych nie jest jednoznaczny i wymyka się konstytucyjnym formułkom, niebędącym w stanie oddać jego wieloaspektowości, niedostrzegalnej dla przeciętnego maturzysty, dysponującego pewnym *quantum* z konieczności symplecystycznej wiedzy podanej w takim ideologicznym sosie, jaki jest przygotowywany przez sprawujących w danym sezonie władzę. Na pomaturalnym etapie uczenia się ulega on rozrzedzeniu i sublimacji, gdyż „zdogmatyzowane laickie prawdy” przy bliższym przyjrzeniu się ukazują wiele niuansów, którymi epatuje studentów doświadczony dydaktyk, pokazujący, jak zęczenie omijać kałuże i wilcze doły, cierpliwie czekające na tych, którzy omamieni modnymi hasłami biegną na oślep w stronę kuszących miraży, oddalających się jak horyzont w miarę przybliżania się do nich. Studia mają uświadomić, że nie wszystko można osiągnąć, bo rzeczywistość skrzeczy, w związku z czym trzeba cały czas oglądać się na posiadane środki, co jest czymś charakterystycznym dla szeroko rozumianej polityki, która jest „sztuką osiągnięcia tego, co możliwe”. Wynika z tego, że dobrze wyszkolony absolwent wyższej szkoły powinien na złość Mickiewiczowi „mierzyć zamiar podług sił”, pamiętając o starej medycznej zasadzie *primum non nocere*, przestrzegającej

przed wszelkiego rodzaju „szklanymi domami” i „zamkami w chmurach”. Wyrabianie takiego sposobu myślenia jest głęboko zgodne z ogólnonarodowym interesem, na straży którego powinni stać ukształtowani przez uniwersytety absolwenci.

Są oni inkarnacją zinstytucjonalizowanego elitaryzmu, rzucającego samym swoim istnieniem wyzwanie egalitarystycznemu ludowładztwu, napotykałemu na drodze swego „marszu przez instytucje” opór w postaci rozlicznych „wstydlivych enklaw ciemnej przeszłości”, wśród których bez większego trudu odnajdziemy „ostańce przednowoczesnej rzeczywistości” w postaci instytucji nastawionych na szukanie mającej się wyłonić w rezultacie żmudnych badań niekoniernie zupełnie estetycznej Prawdy. Samo konstataowanie jej istnienia rzuca wyzwanie pozbywającej się aksjologii współczesnej demokracji, z lubością strojącej się w kelsenowski płaszcz radykalnego relatywizmu, kwestionującego istotność poczynionych ustaleń, mogących ulec zakwestionowaniu w rezultacie kolejnych formalnych ustaleń zbiorowego suwerena. Ten typowy dla naszych dni *modus operandi* póki co nie zdołał zanegować charakterystycznego dla akademickiej rzeczywistości sposobu oceniania ludzkich poczynień, przejawiającego się w sceptycznym traktowaniu zarówno bieżących ocen większości, jak i nagłaśnianych postulatów „emancypujących się mniejszości”. Na wyższych uczelniach „tyrania większości”, przynajmniej jak do tej pory, miała niewielkie możliwości rozwoju z powodu specyfiki tego środowiska, w którym cierpliwe wysłuchiwanie przez ilościowo dominujących adeptów nauk wszelakich treści przekazywanych przez bardziej od nich wykształconą mniejszość w naturalny sposób łączy się z posłuszeństwem, co sprawia, że mamy do czynienia z „dyktaturą zinstytucjonalizowanego Rozumu”, wydającego swoje wyroki poprzez zindywidualizowane inkarnacje w postaci dysponujących formalną władzą karania złymi stopniami lub nagradzania dobrymi nauczycieli akademickich.

W optyce konsekwentnego ludowładztwa schemat ten będzie się jawić jako niesłuszny, w przeciwieństwie do takiego, w jakim oceny byłyby przyjmowane poprzez głosowanie tych zbiorowości, jakim są nadawane. Problem w tym, że przyjęcie takiej konstrukcji oznaczałoby zakwestionowanie merytorycznego wymiaru decyzji. Pozbawione merytoryczności kryteria dominowałyby również w sytuacji dopuszczenia nauczającego do współdecydowania, ponieważ przy obowiązywaniu zdogmatyzowanej zasady *one man one vote* jego głos byłby wart tyle samo, co każdy inny. Uwiarygodniałby zatem rozstrzygnięcia kolektynu bez możliwości istotnego wpływania na ich treść, o której decydowałby układ sił w obrębie elektoratu, mogący sprawiać, że „nielubiany kujon” zostałby surowo oceniony przez zazdrosnych współuczestników procesu edukacyjnego, nieżyczących sobie, aby jakiś „stachanowiec” niemiłosiernie zawyżał poziom. W każdym razie podejmowanie wspólnych decyzji w obrębie grupy odnośnie do jej członków lub jakiegokolwiek innej kwestii jest w naturalny sposób obciążone domniemaniem braku

obiektywizmu, bo przecież *nemo iudex in causa sua*, którą to paremię możemy odnosić zarówno do rozstrzygnięć podejmowanych przez pojedynczego decydenta, jak i zbiorowych postanowień.

Takie podejście do zagadnienia skłania do krytycznego spojrzenia na demokrację, która powinna wszak polegać na tym, że lud decyduje o własnych sprawach. Jednakże, podobnie jak każda inna idea, ludowładztwo nie jest możliwe do zrealizowania w pełnym wymiarze, gdyż doprowadziłoby to do skrajnego zachwiania elementarnej ustrojowej równowagi, dlatego w interesie aktualnego systemu sprawowania władzy państwowej należy utrzymywać enklawy, w których z dystansem traktuje się „mądrość etapu”, choćby dlatego, że w przypadku ewentualnej zmiany paradygmatu ustrojowego będzie można odwołać się do przechowanych na marginesie dominującego trendu rozwiązań, odmiennych od tych, jakie przeważały przed kolejną transformacją. Należy unikać totalnego zglajszaltowania stosunków społeczno-politycznych, gdyż *уравниловка* struktur, działania i myślenia generuje postępującą erozję kreatywności, skutkującą spychaniem danego społeczeństwa na dalsze pozycje w „globalnym rankingu”. Wypada żywić nadzieję, że autonomia szkół wyższych, pozwalająca im konserwować różne „średnio-wieczne dziwactwa”, zdoła przynajmniej spowolnić ten trend.

Póki co nie jest on na tyle silny, aby doprowadzić do anihilacji zręcznej syntezy Średniowiecza z Oświeceniem, jaką bez większego trudu można odnaleźć w typowym akademickim paradygmacie naszych czasów, „umiejętnie łączącym doświadczenia odległej przeszłości z wymogami teraźniejszości”. Są one uwzględniane w procesie nauczania, zasadniczo niebędącym w sprzeczności z oczekiwaniami władz państwowych, tolerujących uniwersyteckie odmienności ze względu na korzyści, jakie uzyskują rządzący w postaci absolwentów otrzymujących sporą porcję wiedzy dzięki temu, że przez kilka lat zgadzali się na funkcjonowanie w warunkach daleko idącego podporządkowania, charakterystycznego dla oświeconej monarchii, której duch wciąż jest obecny w uniwersyteckich murach, mimo że otoczone są one przez „światlistą demorepublikę” skazaną na wykorzystywanie wychowanych w innym paradygmacie kadr, które nie mogłyby osiągnąć odpowiadającego potrzebom aparatu państwowego poziomu, gdyby były kształtowane według zasadniczych dyrektyw konstytucyjnych, wybitnie utrudniających przeprowadzanie procesu edukacyjnego, wymagającego istnienia wyniesionych ponad nauczaną rzeszę kadr, które nie mogłyby się ukształtować, gdyby wszędzie zaprowadzić ekspansywny egalitaryzm.

Taka opcja uniemożliwiłaby istnienie wyższych szkół, charakteryzujących się tym, że nieustannie natykamy się w nich na merytokrację, oligokrację i gerontokrację, dzięki którym legat starszych pokoleń może być przekazywany młodszym, które później prześlą go następnym generacjom w sposób zapewne zbliżony do tego, jaki same doświadczyły i z czasem



uznały, że posiada on więcej zalet niż wad. Te drugie blakną w obliczu kształtowanego przez studiowanie elitaryzmu, niezbędnego wszak w procesie zarządzania jakąkolwiek państwową strukturą, szczególnie wówczas, gdy chodzi o ogólnopaństwowy szczebel, wymagający nadzwyczajnej koncentracji podejmowanych przez aparat państwowy działań.

Jego odnoszące się do szkolnictwa wyższego poczynania wynikają z tego, że publiczne szkoły wyższe mają współtworzyć konstytucyjne Dobro Wspólne, którego aktualny kształt określa rządząca na obecnym etapie rozwoju ekipa. Trudno nie przypomnieć oczywistej prawdy, że przyjęta przez nią względem akademickiej edukacji linia ma dalekosiężne skutki, gdyż ludzie z uniwersyteckim cenzusem będą wszak po uzyskaniu dyplomu przez dziesiątki lat odgrywać istotną rolę w społeczno-politycznej rzeczywistości RP, gdyż nie od dziś wiadomo, że „takie będą rzeczypospolite, jakie ich młodzieży chowanie”. Można z dużą dozą prawdopodobieństwa zakładać, że w przyszłości będzie tak samo, z czego wynikałoby, że dialektyczny związek między wewnątrzuczelnianą, posiadającą potężny ładunek swoistości, polityką a tą, jaka jest realizowana na ogólnokrajowym szczeblu, zachowa istotne znaczenie, a jego charakter będzie mniej więcej taki sam jak dzisiaj, bo nie zmienią się zasadniczo reguły rutynowej gry, odbywającej się zarówno między uczącymi i nauczonymi, jak i między rządzącymi a środowiskiem akademickim.

